

ANGELIKA KOŁODZIEJ

DEVOTED *hearts*

Contract #2



Arabella nie widziała Camerona od roku i chciałaby, żeby tak zostało.



Copyright © 2024
Angelika Kołodziej
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Sandra Pętecka

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Joanna Boguszewska

Barbara Hauzińska

Redakcja techniczna:

Michał Swędrowski

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-260-6

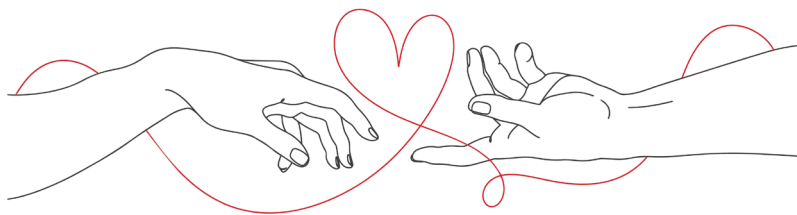
ANGELIKA KOŁODZIEJ

**DEVOTED
HEARTS**

CONTRACT #2

OŚWIĘCIM 2024

*Dla Oskara, dzięki któremu świat wydaje się być
pasmem nieskończonych możliwości.*



PROLOG

Arabella

Gdy byłam małą dziewczynką, a w szkole pytano mnie, co jest moim największym marzeniem, zawsze bez wahania odpowiadałam, że wolność. Wydaje mi się, że nauczyciele nieszczerze rozumieli, co mam na myśli, i kwitowali moje zbyt gorzkie jak na dziecko słowa śmiechem.

Tymczasem dla mnie wolność oznaczała życie bez podążającego za mną krok w krok strachu. Bez przemocy, krzyków i krwi. Bez ojca, który z radością karał mnie za każde najmniejsze przewinienie. Bez dręczących mnie co noc koszmarów.

To życie z dala od murów tej noszącej w sobie same złe wspomnienia rezydencji.

Jak miałam więc o tym nie marzyć? Przecież zawsze pragnie my tego, co najcięższe do zdobycia.

Dwadzieścia jeden lat pielęgnowałam taką właśnie wizję wolności, wierząc całą sobą w jej słuszność. Przestałam jednak liczyć na to, że nadejdzie dzień, w którym wreszcie wyfrunę z klatki i zacznę stawiać pewne kroki w nowym, wspanialszym świecie. To wydawało się niemożliwe, gdy wciąż żyłam w cieniu kogoś takiego jak Laurence Vargas. A gdy ten okrutny i zepsuty do szpiku kości człowiek postanowił oddać moją rękę obcemu

mi mężczyźnie, jedynie utwierdziłam się w przekonaniu, że moje życie nigdy nie będzie tak naprawdę w pełni moje.

I wtedy to się stało. W najmniej oczekiwanym momencie, gdy już zdążyłam zakopać wszystkie te czcze marzenia na dnie serca, mój mąż postanowił ofiarować mi coś, co nazwał wolnością, a co wydawało się wszystkim, tylko nie nią.

Bowiem nie sądziłam, że owa wolność mogłaby mieć posmak złamanego serca, łez i tęsknoty za czymś nieokreślonym. Nie. Miała być obdarta ze wszelkiego żalu. Miałam być dzięki niej prawdziwie szczęśliwa.

Rok temu opuściłam Liverpool w towarzystwie roztrzaskanego serca, przekrwionych od wielogodzinnego płaczu oczu, małej walizki na kółkach i kluczy do nowego mieszkania. Bez żadnego planu wsiadłam na pokład samolotu, drżąc ze strachu i wciąż jeszcze nie do końca rozumiejąc, co się tak właściwie wydarzyło.

Dopiero gdy wysiadłam na lotnisku, już w Nowym Jorku, i w oczekiwaniu na taksówkę wyjęłam telefon, dotarła do mnie powaga sytuacji. Media huczały od coraz to nowszych wieści na temat zatrzymania mojego ojca. Dotąd nietykalny dla prasy Cameron utknął między chmurą dziennikarzy. Miasto stanęło na głowie, a ja przyglądałam się temu z odległości kilku tysięcy kilometrów.

Przez parę marnych minut pozwoliłam sobie wierzyć, że to koniec. Koniec strachu, koniec ukrywania się, koniec udawania i, co najpiękniejsze, koniec Laurence'a Vargasa – jego władzy nade mną i całym Liverpooliem.

Po chwili dotarło do mnie jednak, że to dopiero początek.

Następne miesiące upłynęły mi pod znakiem kolejnych artykułów na stronach plotkarskich, wycieczek do Liverpoolu, gdzie musiałam zeznawać przeciwko ojcu i jednocześnie unikać Camerona oraz wielu samotnych nocach, podczas których próbowałam zrozumieć, co to wszystko tak naprawdę dla mnie oznacza.

Gdy po wielu miesiącach zaciętej walki jednogłośnie skazano Laurence'a na życie za kratkami, na dobre zagościłam się w Nowym Jorku, znalazłam gabinet psychologiczny i dołożyłam wszelkich starań, by wyrzucić z pamięci naznaczone bólem lata młodości oraz ten krótki okres spędzony u boku Camerona.

Zaczęłam nowy etap, skupiłam się na sobie – swoim zdrowiu i pasjach. Poznawałam nowych ludzi, smakowałam rzeczy dotąd kategoriycznie dla mnie zakazanych i próbowałam sobie wmówić, że jestem szczęśliwa.

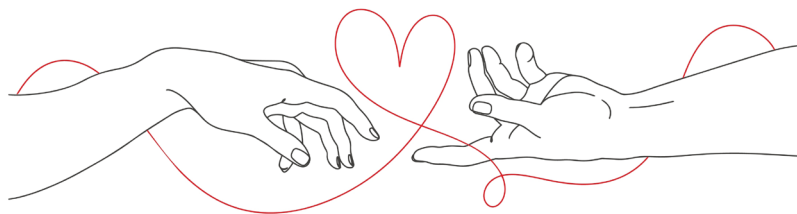
Choć wcale przecież taka nie byłam.

I wcale nie tak łatwo szło mi zapomnienie o istnieniu Camerona Salforda, gdy jego imię przewijało się w każdej rozmowie z Marshalllem i Margot. Nie, gdy jego twarz zdobiła początek każdego nowego artykułu.

Nie, gdy wciąż nosiłam jego nazwisko.

Nie, gdy podarowany mi ponad rok wcześniej pierścionek wciąż nawiedzał mnie swoim widokiem na każdym kroku.

I nie, gdy uczucia względem tego mężczyzny przypominały niemożliwe do pozbycia się blizny na moim ciele.



ROZDZIAŁ 1

Arabella

Deszcz tego dnia nie miał litości. Kropelki wody rozbijały się o szyby, co wpędzało mnie w senny nastrój. Ślęczałam nad jednym z większych projektów w swoim malutkim gabinecie, a w myślach modliłam się o to, by szefowa przynajmniej ten jeden raz była w dobrym humorze.

Kilka miesięcy temu udało mi się załapać na staż do raczkującej na rynku modowym firmy. Pierwsze tygodnie były bolesnym przypomnieniem, że nigdy w swoim dwudziestu dwu letnim życiu nie podjęłam się żadnej pracy. Stale coś zawałam, nie potrafiłam się zorganizować i regularnie odbywałam nieprzyjemne rozmowy z równie kapryśną, co ja, szefową.

Ale mimo to byłam zadowolona, że wreszcie podjęłam jakieś kroki związane z jednym ze swoich marzeń. Moda zawsze była mniej lub bardziej obecna w moim życiu, a tworzenie własnych projektów zaspokajało ukrytą we mnie kreatywność.

Bywały też takie dni, gdy miałam ochotę rzucić tym wszystkim w cholerę, wrócić do wylegiwania się w łóżku i uzalania nad własnym losem. Dokładnie tak, jak dzisiaj.

Moje modlitwy na nic się nie zdały. Iris – kobieta ze skłonnością do skrajnych zmian nastroju w tragicznie krótkim czasie

i jednocześnie moja szefowa – postanowiła zrobić mi na złość i po raz kolejny odrzuciła mój projekt, wytykając mi błędy, których wcale nie popełniłam.

Wróciłam do gabinetu jeszcze bardziej podminowana. Gardło paliło mnie od słów, których nie wypowiedziałam, a którymi chciałam obrzucić Iris.

Wiele godzin spędzonych na psychoterapii pozwoliło mi zrozumieć, że uzewnętrznianie swojej złości – wbrew temu, co sądziłam – nie zawsze jest dobrym rozwiązaniem. Dzieciństwo spędzone u boku ojca nauczyło mnie reagowania agresją na wszelkie przejawy skierowanego we mnie niezadowolenia. Jako mała dziewczynka wiedziałam doskonale, że próby normalnej ludzkiej rozmowy i tak zakończyłyby się tym samym, co pyskowanie – krzykami, bólem i paskudnymi siniakami na skórze. Przyzwyczajona do tego schematu, wychodziłam z założenia, że powinnam postępować w ten sam sposób w relacjach z każdą inną osobą. Zawsze wybierałam agresję ponad wszystko inne, traktowałam to jako jedyny sposób na obronę.

Naprawdę sporo czasu zajęło mi dojście do etapu, w którym nauczyłam się dusić w sobie złość na rzecz spokojnych i szczerych rozmów. Teraz, gdy patrzyłam na swoje zachowanie z perspektywy czasu, nie mogłam wyzbyć się wstydu. Często bywałam okrutna, nieznośna i niesprawiedliwa.

Powoli jednak zapominałam o tych szkodliwych nawykach. Przestałam widzieć we wszystkim i wszyskkich zagrożenie.

Odłożyłam na biurko teczkę z projektami do poprawy i na kilka chwil przymknęłam powieki. Próbowałam okiełznać złość.

Telefon zaczął wibrować mi w dłoni. Rzuciłam okiem na wyświetlacz i natychmiast dotknęłam ikonki zielonej słuchawki.

– Co słysząc u mojej ulubionej projektantki z Nowego Jorku? – zapytał pogodnym tonem Marshall.

Z Marshalllem łączyła mnie dziwna relacja. W czasie wszystkich tych związanych z moim ojcem rozpraw okazał mi niewiarygod-

ne wsparcie i choć początkowo trawił mnie głęboki żal względem tego mężczyzny, to teraz doceniałam jego obecność w moim życiu.

– Aktualnie próbuję nie wybuchnąć – odparłam.

– Iris daje w kość?

– Gorzej. Uderza w dumę – rzuciłam. Słyszac głos Marshalla, mój humor uległ minimalnej poprawie. Nie wiem, jak to robił, ale zawsze wydawał się taki radosny i energiczny, czego mi zdecydowanie brakowało. – A co nowego w Liverpoolu?

Mieliśmy jedną zasadę – zero wzmianek o Cameronie. Czasem się tego trzymał, a czasem wspominał o nim mimochodem, co zawsze poruszało zakopaną głęboko w moim sercu tęsknotę.

– Pogoda do dupy, nikt nie chce iść ze mną wieczorem na piwo i tęsknię za swoją przyjaciółką – odpowiedział. – Ta przyjaciółka to ty, tak dla jasności.

Poczułam, jak kąciki moich ust wyginają się ku gorze.

– I co z tym zrobimy?

– Czy w Nowym Jorku nie zostaną zaatakowany przez ulewy?

– Co najwyżej troszkę zmokniesz.

– A pójdziesz ze mną na piwo?

– Pójde.

– I zaspokoisz moją tęsknotę?

– Owszem. – Podekscytowanie na dobre przysłoniło gniew.

– W takim razie wpadnę za jakiś czas.

Miałam wrażenie, jakby w jednej chwili ktoś zabrał z moich barków cały ciężar. Życie w Nowym Jorku przypominało wieczny maraton samotności. Próbowałam znaleźć sobie znajomych, ale z moim charakterem czasem ciężko było mi utrzymać jakąś relację dłużej niż kilka tygodni.

Marshall odwiedzał mnie raz na jakiś czas. Spędzaliśmy wieczory na długich rozmowach, szlajaliśmy się po barach i udawaliśmy, że reszta świata nie istnieje.

– Będę cię wyczekiwać.

– Wczekuj. Dam znać, jak kupię bilety.

Spostrzegłam jakiś ruch za drzwiami, więc szybko zakończyłam połączenie. Iris weszła do mojego gabinetu w momencie, w którym odkładałam telefon na biurko, wciąż szeroko się uśmiechając.

– Poprawione projekty mają być gotowe za godzinę. Odłóż to paplanie przez telefon na później – skarciła mnie opryskliwym głosem, ale gdy tylko wyszła, ponownie sięgnęłam po komórkę, mimowolnie sprawdzając terminy najbliższych lotów z Liverpoolu do Nowego Jorku.



W drodze do domu tworzyłam w myślach wstępny plan na pobyt Marshalla w Nowym Jorku. Nie odwiedzał mnie na dłużej niż dwa lub trzy dni, więc musiałam upchnąć w tym krótkim czasie wszystkie rzeczy, które chciałam z nim zrobić.

Przede wszystkim Marshall stał się jedyną – poza moją terapeutką – osobą, z którą mogłam szczerze porozmawiać, wylać na światło dzienne wszystkie żale i jednocześnie nie zostać ocenioną w żaden sposób. Naprawdę świetnie sprawdzał się w roli słuchacza i nie musiał nawet udzielać mi żadnych rad; wystarczy, że był obok i ze zrozumieniem przyswajał każdą z moich myśli.

Nie wiem, co Cameron myślał o tej niespodziewanej przyjaźni między mną i Marshalllem i szczerze wkurzało mnie to, że w ogóle się tym przejmuję. Nie byłam jednak na tyle silna, by wyrzucić go ze swojej głowy na dobre.

Często zastanawiałam się, co u niego słychać. Czy sobie radzi, czy firma dalej prężnie się rozwija, czy kogoś ma, czy dobrze śpi i czy wciąż pamięta o kobiecie, którą rok wcześniej wziął za żonę.

Media co prawda od czasu sprawy z moim ojcem rzuciły się na Camerona i w sieci mogłam przeczytać całą masę artykułów na temat jego życia, ale z tyłu głowy wciąż siedziała mi myśl, że

nie wszystkie z tych wieści muszą być zgodne z prawdą. Sama przecież byłam kiedyś ofiarą nie mających nic wspólnego z rzeczywistością plotek.

Mogłabym też wreszcie się przełamać i zapytać Marshalla o wszystko, co związane z Cameronem, a co wciąż spędzało mi sen z powiek. Czułam jednak, że taka rozmowa byłaby jak rozdrapywanie starych ran. Wciąż tego nie przepracowałam, nie potrafiłam jeszcze rozmawiać otwarcie o mężczyźnie, który zmienił tak wiele w moim życiu. Nawet myśli o nim niosły za sobą niewyobrażalny ból.

Gdy taksówka zatrzymała się pod odpowiednim budynkiem, nadal jeszcze lekko kropiło. Uregulowałam opłatę i zarzuciwszy na głowę kaptur kurtki, wyszłam na pogrążoną w ciemności ulicę.

Przez pierwsze trzy miesiące pobytu w Nowym Jorku mieszkalam w apartamencie wynajętym przez Camerona. Gdy tylko znalazłam czas i siłę na to, by rozejrzeć się za czymś nowym, wyniosłam się do innego lokum, korzystając z oszczędności. Wychowana w luksusie byłam pewna, że nieprędko przyzwyczaję się do nieco gorszych warunków, ale świadomość, że sama wybrałam sobie takie, a nie inne mieszkanie, okazała się zaskakująco miła. Kochałam tę przytulnie małą przestrzeń, którą wzbogaciłam o kwiaty i niepasujące do siebie ozdoby tak samo mocno, jak kochałam mikroskopijny taras z jednym krzesłem i widokiem na sąsiedni budynek.

To wszystko było bowiem w pełni moje, nieskażone ingerencją kogokolwiek innego. Kupując tak zwyczajne rzeczy jak dywany i doniczki, nie musiałam zastanawiać się nad tym, czy przypadną komuś do gustu, bo liczyło się tylko to, że podobały się mnie.

Mogłam eksperymentować w kuchni, przypalać garnki i patelnie, zostawiać nieumyte kubki w zlewie i brudne ubrania na krześle w salonie bez obawy o to, że ktoś mnie za to upomni, a nawet uderzy.

Dla kogoś to mogło wydawać się niczym, podczas gdy dla mnie było wszystkim. To drobne elementy nowego życia – tego nieidealnego, stawiającego przede mną nowe wyzwania.

Czasem rozmyślałam nad tym, że gdybym tylko wreszcie pozbyła się tej irracjonalnej tęsknoty i wyleczyła się z koszmarów, może mogłabym chwycić szczęście za rogi.

Dotąd mi się to jednak nie udało. Owe szczęście wciąż zdawało się znajdować za mgłą.

Szłam wzdłuż nierównej drogi. Od drzwi do budynku, w którym znajdowało się moje mieszkanie, dzieliło mnie już tylko kilka metrów i dwie ogromne kałuże. Światła ulicznych latarni migotały, raz rozjaśniając ścieżkę, a raz chowając ją w mroku. Chłód nocy wżerał się w moje kości i marzyłam tylko o tym, by wreszcie znaleźć się w ścianach swojego lokum, napić lampki wina i zaszyć na ogromnej kanapie pod kocem.

Stojąc już pod drzwiami, zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu kluczy. Odnalazałam je dopiero po upływie kilkunastu sekund, w czasie których zdążyłam w myślach zwyzywać samą siebie za to, że nie wyjęłam ich jeszcze w taksówce. Już miałam wsuwać klucz do zamka, gdy zza pleców usłyszałam męski głos zabarwiony brytyjskim akcentem.

– Arabella Salford?

W jednej chwili wnętrzości ścisnęły mi się z przerażenia. Klucze wypadły z rąk, a ciało gwałtownie obróciło się przodem do nieznanego. Stał tyłem do latarni, jego twarz pozostawała w cieniu, a głowę przykrywał kaptur grubej bluzy. Czułam jednak ciężar jego spojrzenia na skórze. Niepokój kiełkował na dnie mojego serca, gdy tak wpatrywał się we mnie bez słów.

Nikt prócz Iris w tym mieście nie znał mojego nazwiska. Tutaj nikogo nie interesowało, kim tak naprawdę jestem oraz z jakiej rodziny pochodzę. Dla Nowego Jorku byłam tylko kolejną goniącą za marzeniami kobietą, bez twarzy, imienia i przeszłości.

Zawsze przedstawiałam się tylko jako Arabella. Choć w moich dokumentach wciąż widniało nazwisko Camerona, nie chwaliłam się tym na prawo i lewo.

Gdybym interesowała kogoś na tyle, by zaczął grzebać, mógłby znaleźć w sieci mnóstwo informacji na mój temat, ale dotąd nie spotkała mnie podobna sytuacja.

A teraz, stojąc naprzeciwko tego mężczyzny na opustoszałej, ciemnej ulicy, poczułam przeraźliwy strach, o którego istnieniu zdawałoby się, że zapomniałam już jakiś czas temu.

Zamarłam. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Nie potrafiłam się ruszyć ani odezwać. Język splątał niepokój.

– Przepraszam, to chyba pomyłka – przemówił znów, nim powolnym krokiem ruszył wzdłuż ulicy.

Co się tu, do cholery, wydarzyło?

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim w końcu kucnęłam, by sięgnąć po klucze. To mogły być minuty, a nawet godziny. Przeżalenie na dobre zawładnęło każdą komórką w moim ciele.

Wchodząc do mieszkania, upewniłam się kilkukrotnie, że zamknęłam za sobą drzwi. Zachowywałam się jak opętana, gdy nieustannie wyglądałam przez okno, by upewnić się, że nieznajomy zniknął.

Wyglądało na to, że odszedł, pozostawiając po sobie tylko głębokie uczucie zaniepokojenia.

Powiedział, że to pomyłka, choć przecież i ja, i on, doskonale wiedzieliśmy, że to pomyłką wcale nie było. Jego krótka i tajemnicza wizyta zdawała się przybierać postać pewnego ostrzeżenia, o czym nie potrafiłam przestać myśleć.

Mój ojciec siedział za kratkami. Być może nie istniał powód do tego, bym jeszcze kiedykolwiek musiała się go obawiać. I nie wiem, czy powinnam powiązywać z nim sytuację sprzed chwili.

Może wpadałam w paranoję. A może on siedział w swojej celi i przez cały rok obmyślał idealny plan zemsty.

Może nigdy nie powinnam przestać się go bać.

Kładąc się spać tej nocy, wiedziałam podświadomie, że gdy tylko znajdę się w stanie bezbronności, koszmary zaatakują ponownie. Czasem były tylko pojedynczym obrazem, jakimś wspomnieniem z przeszłości, a czasem wydawały się tak wyraźne, że odtwarzałam ich przebieg przez długie dni.

Już dawno nie dopadło mnie to dziwne uczucie, podpowiadające mi, że wydarzy się coś złego. A teraz pojawiło się znowu.

Na chwilę przed zaśnięciem zdołałam tylko przeczytać nową wiadomość.

Marshall: Przyjadę za dwa tygodnie w piątek. Słodkich snów.